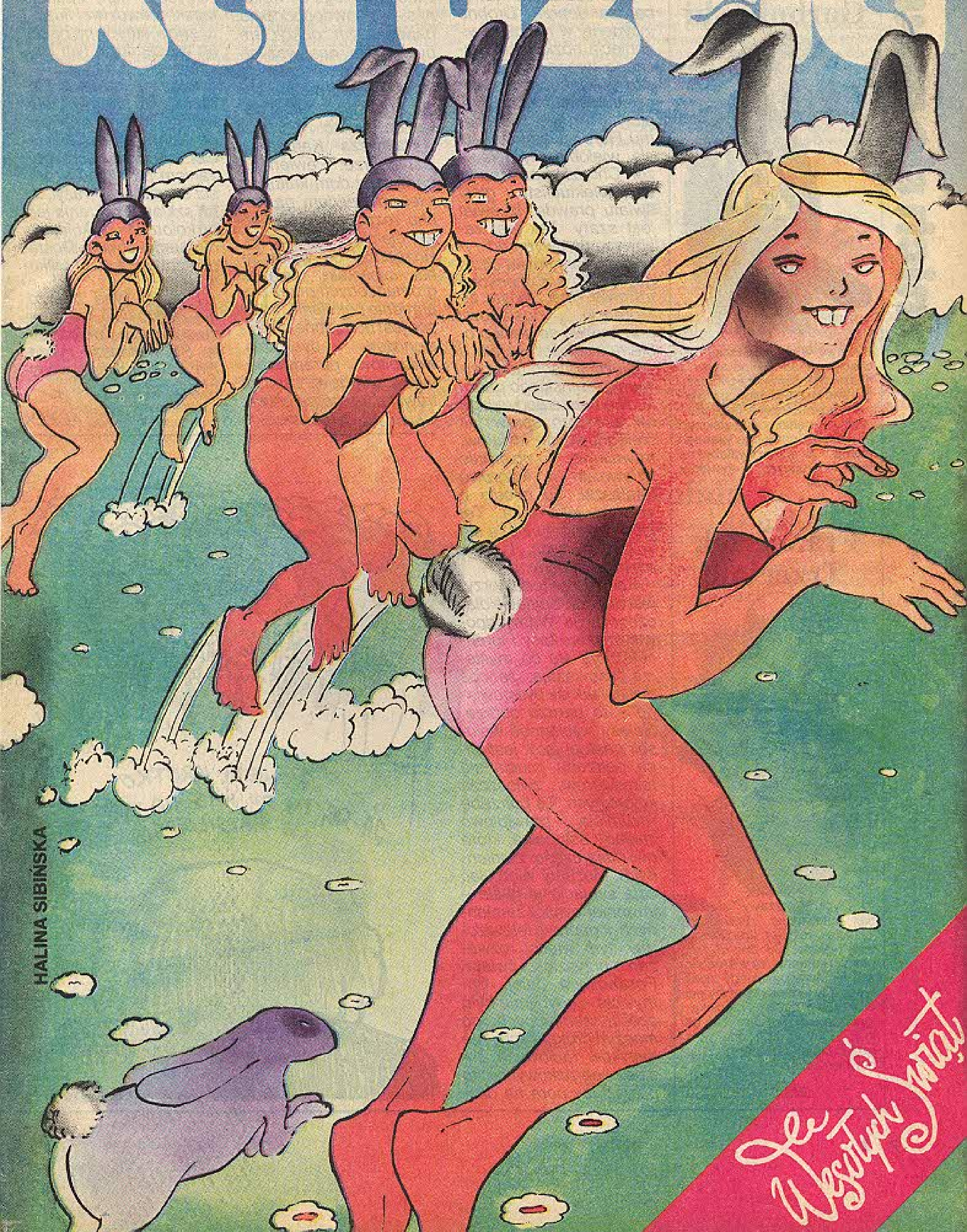
ROK XXXI Nr 8/723 1987.04.16 PL ISNN 0449-9026 CENA 25 ZŁ

karuzela



listy prostaczka

o nich się mówi

Wiesław Garboliński



wystawił w warszawskiej Zachęcie ponad 90 obrazów z okazji 30-lecia pracy twórczej. Jak zauważyli krytycy jest to artysta holenderskich farb, francuskich pędzli, angielskiego gruntu oraz polskiego lnianego płótna, co wskazywałoby na międzynarodowy charakter ekspozycji.

Franciszek Trzeciak



W „Życiu Warszawy" ukazało się ogłoszenie: „Franciszek Trzeciak, reżyser, kręci śluby i inne". Wywołało ono szereg plotek i komentarzy w środowisku filmowym, niekiedy złośliwych. My jednak jesteśmy pełni uznania dla p. Trzeciaka i jego decyzji pójścia „Na całość". Oby w tej trudnej twórczości nie opuszczało go „Diabelskie szczęście"

IBIS-GRATKOWSKI

Droga „Karuzelo"!

Jest dobrze, a nawet bardzo dobrze. Drobne incydenty w rodzaju zwichnięcia nóżki przez naszego wroga nie wchodzą w rachubę. Ostatecznie zostaje mu do dyspozycji druga. Niejakiemu Florenckiemu zepsuł się wielobarwny telewizor. Chodzi teraz w aureoli intelektualisty i głosi światu prawdę, iż świat jest szary. Tak jest zachwycony swym odkryciem, że przymyka oczy, gdy zbliża się czerwony tramwaj. Rzecz w tym, że Florencki postanowił przemyśleć do głębi problem szarości świata i znaleźć sposób na ubarwienie ziemskiego padołu. Nie bierze pod uwagę tak prostych spraw jak pielęgnowanie kwiatów, trawników, ubieranie dziewczyn w kolorowe fatałaszki. Tu chodzi o szarość jako taką. Tę, która rozprzestrzenia się w nas samych. I życie czyni nieznośnym.

Kochani Redaktorzy, jest dobrze. Spytacie dlaczego, a ja Wam odpowiem: skoro tacy Florenccy biorą się do myślenia, zauważają, że coś nie jest tak jak być powinno – to bardzo dobrze. Należy wyciągnąć wniosek następujący: jest pilna potrzeba psucia się telewizorów, zwłaszcza kolorowych. Tę potrzebę rozumieją prawidłowo zakłady usługowe, które nie mają części zamiennych. Możemy więc ująć całą sytuację w haśle – im mniej części zamiennych i napraw telewizorów, tym więcej rozważań o przyszłości świata. Poszedłbym dalej. Pomyślcie – gdyby nie było części zamiennych do maszyn drukarskich i nadajników radiowych, tudzież obrazkowych, to przyszłaby pora na osobiste, że tak powiem, postrzeganie tego co wokół nas. Prawdopodobnie największym odkryciem byłoby dla nas wszystkich to, że obok nas żyją jacyś ludzie i można sobie z nimi pogadać, a nawet coś zrobić.

Najmilsza „Karuzelo", jest dobrze. Pewien gigantyczny dom kultury z wielkim szyldem na dachu rozpoczął pracę po wieloletnim remoncie. Rozpoczął od wyrzucenia biblioteki, książek gromadzonych przez poprzednie pokolenie. Miejsce jest potrzebne dla iluzjonistów, dyskoteki, wróżbitów, parapsychologów. Młodzież zamiast trawić czas na głupstwa, jakieś „Czarodziejskie góry", „Faraonów", „Odyseje" itp., opanuje tajniki prawdziwej iluzji. I tu znów stosowne hasło: im więcej iluzji, tym lżejsze życie.

Koło się zamyka. Florenckiemu naprawili telewizor. Wszystko wraca do normy. Nasz przyjaciel zmęczył się rozgryzaniem problemu szarości świata i zauważył, że na szklanym ekranie jest on kolorowy i piękniejszy, niż kiedykolwiek. Dostąpił szczęścia iluzji całkowitej.

Proszę Was bardzo, nie zakłócajcie mu obrazu satyryczną deformacją. Się najlepsze życzenia świątecznego wypoczywania

PROSTACZEK





ANDRZEJ GRUN

Wstrzymaj się pan!

Władze miasta-molocha, Nowego Jorku, zwróciły się z apelem do telewidzów oglądających niedzielne mecze piłki nożnej, aby nie załatwiali potrzeb fizjologicznych bezpośrednio po zakończeniu spotkań futbolowych, a także po odgwizdaniu przerwy.

„Służby komunalne nie mogą sobie poradzić z gwałtownym wzrostem zapotrzebowania na wodę – argumentowali urzędnicy municypalni – i grożą nam trudne do przewidzenia skutki".

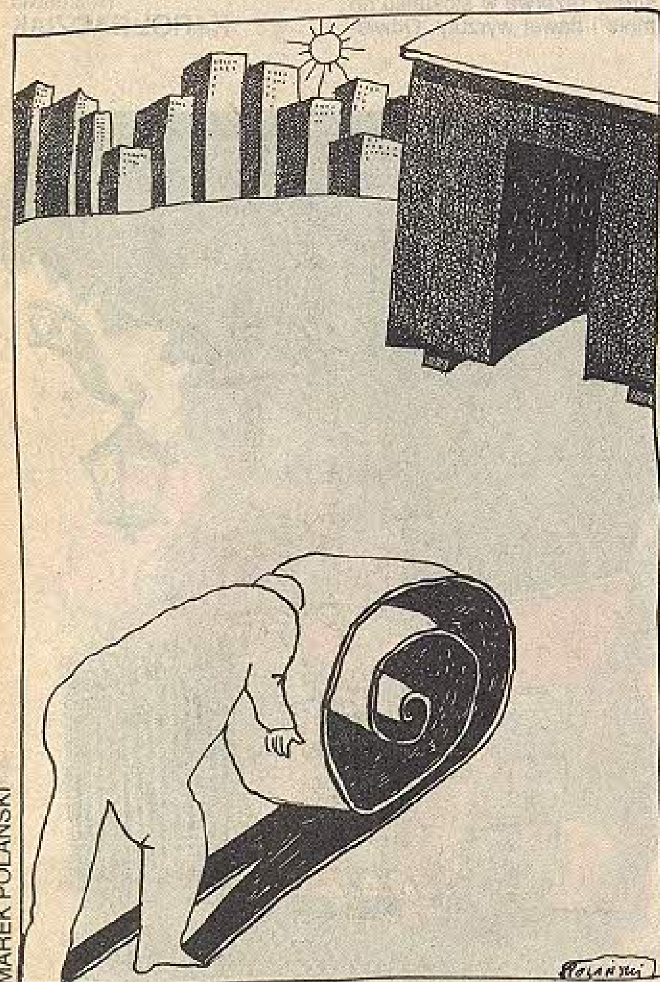
– Jak zwykle przesadzają i straszą – stwierdzili sceptyczni nowojorczycy. – Jeżeli będą chcieli tłumaczyć powstanie pustyni na Saharze zakończeniem meczu między drużynami Jerycha i Sodomy, to ośmieszą się dokumentnie!

Higiena

Miejskie Zakłady Kąpielowe we Wrocławiu liczą sobie obecnie znacznie więcej za tzw. usługi. I tak za skorzystanie z sauny płaci się tam obecnie 200 zł (poprzednio 80 zł), a za łaźnię rzymską aż 300 zł (dotąd 140 zł).

Gorąco nam się zrobiło, kiedy posłyszeliśmy o tej innowacji i nie omieszkaliśmy interpelować jednego z ojców miasta o przyczynę tak drastycznej podwyżki.

– Przyczyn jest cały szereg i wyliczanie ich zajęłoby dużo czasu. Dla ilustracji wspomnę, że odrzaną wodę należy oczyszczać staranniej niż dawniej, gdyż plamy z mazutu mogą trwale zanieczyścić bieliznę kąpielową i osobistą; należy ludzi uczyć, że higiena jest daleko cenniejsza, niż sądzili dotąd... A tak szczerze mówiąc dwie są główne: brak pieniędzy w kasie Urzędu Miasta i ich nadmiar u klientów zakładów kąpielowych.


MAREK POLAŃSKI

Neolatina?

W trakcie procesu przeciw bossom sycylijskiej mafii, jaki odbywał się w Palermo – sędziowie znaleźli się w trudnym położeniu. Oto bowiem mafioso porozumiewali się ze sobą okrzykami w jakimś nie znanym języku. Stróże porządku odwołali się do pomocy lingwisty, który stwierdził, iż „język" ten będzie można „rozpracować" na użytek policji. Nie da to jednak wiele, gdyż dotychczasowa praktyka kryminalna poucza, iż ten „sekretny dialekt" zmieniany jest przeciętnie co dziesięć lat tak, że kiedy zespół językoznawców zakończy prace – dotyczyć one będą już martwego języka.

– Cały ratunek w komputerach! – miał westchnąć brygadier karabinierów.

Piasek

Nasz Czytelnik, p. Witold H. z Katowic przedstawia sprawę zamkniętej ulicy Ligockiej, która – jak pisze – „kosztowała już morze łez i ocean benzyny zmarnowanej na idiotyczne objazdy".

Czytelnik zapytuje, czy nie ma możliwości wzniesienia mostu albo wiaduktu nad niefortunnie usytuowanym torem kolei piaskowej lub zapewnienia bezkolizyjnego przejazdu samochodów przez szyny. W odruchu rozpaczy autor listu stawia retoryczne pytanie: jak długo można przesypywać piasek ku udręce wszystkich udających się w kierunku Ligoty?

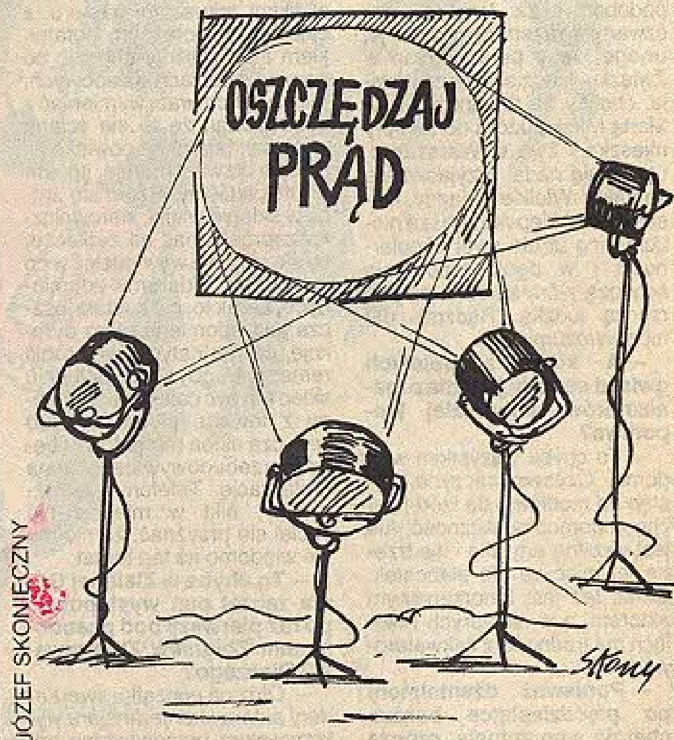
Szanowny Panie, nie wiemy czemu ojcowie miasta nie pomyśleli o rozwiązaniu satysfakcjonującym obie strony. Możemy natomiast zapewnić, że, jak uczy doświadczenie, zabawa z piaskiem może trwać w nieskończoność.

Na przykład w klepsydrze.

Opinia

Kiedy adwokat pozwanego Ryszarda K. z Lublina zażądał poddania klienta badaniom psychiatrycznym – sąd wyraził zgodę, choć w kuluarach sędzia szczerze stwierdził:

– Z mojej praktyki wynika, że jeżeli facet sam się potnie nożem, to nie jest wykluczona dewiacja psychiczna, jeżeli natomiast okalecza konkurenta, to jest aż nadto normalny!



JÓZEF SKONIECZNY

Impresario

część II

– Jak pan wpadł na ten genialny pomysł, żeby zostać impresariem?

– Karierę – mówi **Zbigniew Pogonowski** – zaczynałem jako aktor, lecz po jakimś czasie doszedłem do wniosku, że Solskim i tak nie zostanę, a być kiepskim aktorem, to być przez całe życie nieszczęśliwym, więc postanowiłem pozostać w branży, ale zająć się organizacją imprez artystycznych. Ostatnio żeby wydostać od „Estrady Łódzkiej" poświadczenie, że pracowałem niegdyś w tej firmie przeszło dwa lata na etacie aktora, musiałem powiedzieć dyrektorowi, że Teatr Stary w Krakowie zatrudnia, jak sama nazwa wskazuje, tylko starych aktorów i ja się też tam pragnę zaangażować.

– Z kim pan zaczynał?

– Z Martą Mirską, wspaniałą kobietą, która w latach pięćdziesiątych śpiewała swój słynny przebój „Zachodni wiatr", z Wandą Bojarską, z parodystą Gromnickim, z Janowską, z Wiesławą Drojecką, dziś już całkiem zapomnianą. Wyjeżdżaliśmy też często na występy do Związku Radzieckiego, skąd Drojecka za każdym razem przywoziła całkiem nowego, przystojnego męża i w dodatku Ormianina. W końcu władzom naszym przestało się to podobać i za trzecim, czy czwartym razem zwrócono jej uwagę, żeby paru Ormian w Związku Radzieckim zostawiła, choćby na rozmnożenie. Z Martą Mirską, która do tej pory mieszka i żyje w Warszawie, utrzymuję nadal przyjacielskie kontakty. Wielkie gwiazdy, niestety, dość kiepsko znoszą nieuchronną utratę swej popularności i w ogóle niechętnie schodzą z firmamentu, co jest rzeczą ludzką. Bądźmy dla nich wyrozumiali.

– A która z polskich gwiazd estrady jest dla organizatorów najbardziej kłopotliwa?

– To chyba wszystkim wiadomo. Czasem zaczyna występ od modlitwy, do której zachęca gorąco publiczność. Ale jest wybitną artystką i nie trzeba jej mieć za złe słabostek. Gołas też jest fenomenalnym aktorem, a w niektórych hotelach ma trudności z zakwaterowaniem.

– Ponieważ dżentelmeni po pięćdziesiątce bardzo chętnie wspominają, proszę o jeszcze parę ciekawostek z dawnych lat?

– Proszę bardzo, było to w roku pięćdziesiątym szóstym, kiedy z programem „Parada za 2 grosze" wylądowaliśmy w Sandomierzu. Kolacja się trochę przeciągnęła, więc wszyscy dłużej pospali, tylko ja musiałem obudzić się wcześniej. Wyszedłem na sandomierski rynek, a tam wrzawa, okrzyki, wiwaty na cześć powrotu do władzy Władysława Gomułki. Powróciłem do hotelu i mówię artystom, żeby się pokazali w oknach, gdyż ludność Sandomierza, kiedy się dowiedziała, że do ich miasta zjechała tak znamienita plejada gwiazd, urządziła na powitanie owację. Trzeba było widzieć jak się towarzystwo puszyło, jak dumnie wypinało piersi, aż w pewnym momencie, ktoś wpadł na pomysł, że w tej sytuacji za mało im płacę i zażądali większych stawek. Musiałem, niestety, wyprowadzić ich z błędu i powiedzieć na czyją rzeczywiście cześć brzmią te radosne okrzyki. Długo mi to pamiętali.

– Czy to prawda, że w Zielonej Górze, właśnie z pańskiej przyczyny, tamtejsze „Delikatesy" zamieniono na restaurację?

– Dokładnie było to tak, że personel zielonogórskich „Delikatesów" był wyjątkowo w stosunku do klientów nieuprzejmy, więc postanowiliśmy z kolegą cokolwiek zakpić sobie z tego towarzystwa. Weszliśmy któregoś ranka do sklepu z wielkimi arkuszami papieru, z calówką, z potężnym notatnikiem i zaczęliśmy chodzić po pomieszczeniach sklepowych, mierzyć, notować, wymieniać z sobą uwagi, że tu się ścianę wyburzy, tam okna powiększy, ówdzie drzwi zamuruje, itp. androny pletliśmy. Szum się zrobił w sklepie wielki, kierowniczka zaprosiła nas na zaplecze, by się sprytnie wywiedzieć w co jest grane. Udaliśmy zdumionych, że jak to, nie została jeszcze powiadomiona przez dyrekcję, że ma natychmiast robić remanent, gdyż po południu sklep ma być całkiem opróżniony z towaru, albowiem jutro wkracza ekipa remontowa i będzie przebudowywała lokal na restaurację. Telefony się rozszalały, nikt w mieście nie chciał się przyznać, że nic mu nie wiadomo na ten temat.

– To chyba w Zielonej Górze zaczął pan występować po raz pierwszy pod pseudonimem Zbigniew Zbyszewski? Dlaczego?

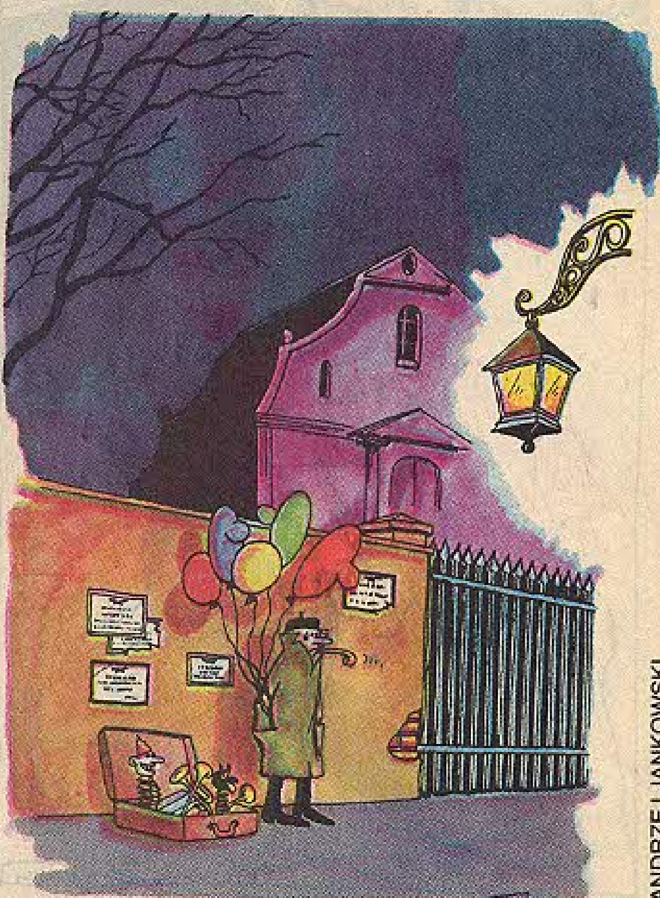
– Otóż na początku swej kariery aktora i konferansjera wykonywałem przedwojenny numer Lopka Krukowskiego. Było to zaraz po wojnie, po wielkiej hitlerowskiej hekatombie Żydów i rzecz została odczytana jako kpina z nieszczęsnego narodu. Później po latach, kiedy Lopek powrócił do kraju i sam się produkował w szmoncesie, nikt w tym nie dopatrywał się akcentów antysemickich. Przyznaję, to był mój młodzieńczy błąd, z którego skutków wcale nie zdawałem sobie wówczas sprawy.

W każdym bądź razie, kiedy się zgłosiłem do pracy w „Estradzie" zielonogórskiej, żeby mi łódzka etykietka nie zaszkodziła, podałem dyrektorowi Bialikowi, że nazywam się Zbyszewski. W tym czasie wielu ludzi zmieniało nazwiska. Dyrektor Bialik już w pierwszej rozmowie ostrzegł mnie przed niejakim Pogonowskim, łobuzem i hochsztaplerem, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że dobrze uczyniłem, zaopatrując się w zastępcze nazwisko. Z dyrektorem Bialikiem, ku jego i mojemu zadowoleniu, pracowało mi się doskonale. Tylko raz miał miejsce wypadek, który spowodował z jego strony rezerwę w stosunku do mnie i nawet wyrzuty. Odwiedziwszy mnie kiedyś nieoczekiwanie w hotelu spostrzegł, że na karcie meldunkowej, obok nazwiska Zbyszewski, widnieje nazwisko Pogonowski. Strasznie oburzył się na mnie, że zgodziłem się zamieszkać w jednym pokoju z tym draniem Pogonowskim, przed którym mnie swego czasu tak szczerze ostrzegał.

W końcu, po kilku latach harmonijnej współpracy, kiedy już na dobre się zaprzyjaźniliśmy, będąc raz w Krakowie u „Wierzynka" na sutym obiedzie, jako że obaj byliśmy wytrawnymi smakoszami, postanowiłem sprawę wyjaśnić. W tym celu „przypadkowo" wypadł mi z kieszeni stary dowód osobisty, wprost pod nogi Bialika. Bialik go podniósł i też przypadkowo przeczytał do kogo należy. Spojrzał mi w oczy uważnie i po dłuższej chwili rzekł: „Wiesz ty Zbyszewski, że ja już od dawna cię podejrzewałem żeś jest Pogonowski. Ale nic się nie martw, ja też nie nazywam się Bialik..."

Dalszy ciąg nastąpi

Rozmawia
KAROL BADZIAK


ANDRZEJ JANKOWSKI

Złota rybka

Prawdziwemu wędkarzowi nic w wędkowaniu nie przeszkodzi. A sąsiad jest prawdziwym wędkarzem. Kiedy więc okazało się, że na ryby znów nie wyjedzie, napuścił wody do wanny i oddał się cały umiłowanemu hobby nie zmieniając wygodnych kapci na nieprzytulne kalosze.

– I bardzo dobrze – skonstatowała żona. – Nie przeziębisz się, prania dopilnujesz i też nic nie złapiesz.

– Ciii, bo przepłoszysz – syknął sąsiad i żona uszanowała rytuał wycofując się na pokoje.

Ciepluchno było, przyjemnie, czysta woda bulgotała kojąco. Nęcił sąsiad i zarzucał jak nad sadzawką i jak w sadzawce też nie brały. Bardzo mu było dobrze.

Aż któregoś popołudnia, gdy miał już zwijać kosztowny sprzęt, poczuł nagłe szarpnięcie i zdumiony ujrzał, że spławik ginie pod powierzchnią wody. – Bez sensu – pomyślał, ale w zgodzie z wszelkimi regułami sztuki wyciągnął zdobycz.

Była to rybka. Najprawdziwsza, ale i niezwyczajna rybka. Niezwyczajna, bo złota.

– Dobry wędkarzu – odezwała się złota rybka ludzkim głosem – zwróć mi wolność, a spełnię każde twoje życzenie.

– A zgiń, przepadnij maro – wykrztusił sąsiad nieodzowne zaklęcie, wrzucił rybkę do wanny i szybko opuścił łazienkę. – Przysnąłem, czy co?

– Niedojda jesteś – orzekła żona, gdy zwierzył się jej z niecodziennej przygody. – Może i przysnąłeś, ale co ci szkodziło spróbować? Wracaj zaraz do łazienki i poproś ją o coś!

– Ale o co?

– Na przykład o jakieś lepsze stanowisko w pracy. Zresztą wszystko jedno o co. Wracaj do łazienki!

Wrócił sąsiad, bo i co miał zrobić. Głupio mu było, ale w końcu, faktycznie – co szkodziło spróbować?

– Złota rybko, złota rybko wypłyń – przyzywał złotą rybkę, acz bez przekonania.

Woda w wannie wzburzyła się i po chwili na spokojnej już powierzchni ukazała się złota rybka.

– Czego chcesz dobry wędkarzu? – spytała jak w najprawdziwszej bajce.

– Chciałbym... właściwie żona by chciała dla mnie jakiegoś lepszego stanowiska w pracy... Rzeczywiście dawno nie awansowałem.

– Idź spokojnie do żony. Jej życzenie będzie spełnione – odparła złota rybka i zanurzyła się w zielonkawej wodzie.

Następnego dnia szef poprosił do siebie sąsiada i rzekł mu:

– Obserwuję pana, panie kolego, od dawna i z przyjemnością stwierdzam, że zasługuje pan na więcej. Od dziś jest pan starszym referentem.

Odmieniło się życie sąsiada, barwniejsze się stało i ciekawsze. Ale żona szybko przyzwyczaiła się i – jak to żona – chciała więcej. A to nowych kiecek zapragnęła, a to wczasów w sezonie w Zakopanem, a to do opery by poszła... Wstyd już było sąsiadowi fatygować wciąż od nowa złotą rybkę, cóż jednak miał czynić?

– Całkiem się żonie w głowie przewróciło – przepraszał nad wanną. – Mieszkanie chciałaby zamienić na przestronniejsze.

– Wracaj do niej dobry wędkarzu – odpowiedziała cierpliwa wciąż złota rybka. – Będziecie mieli większe mieszkanie.

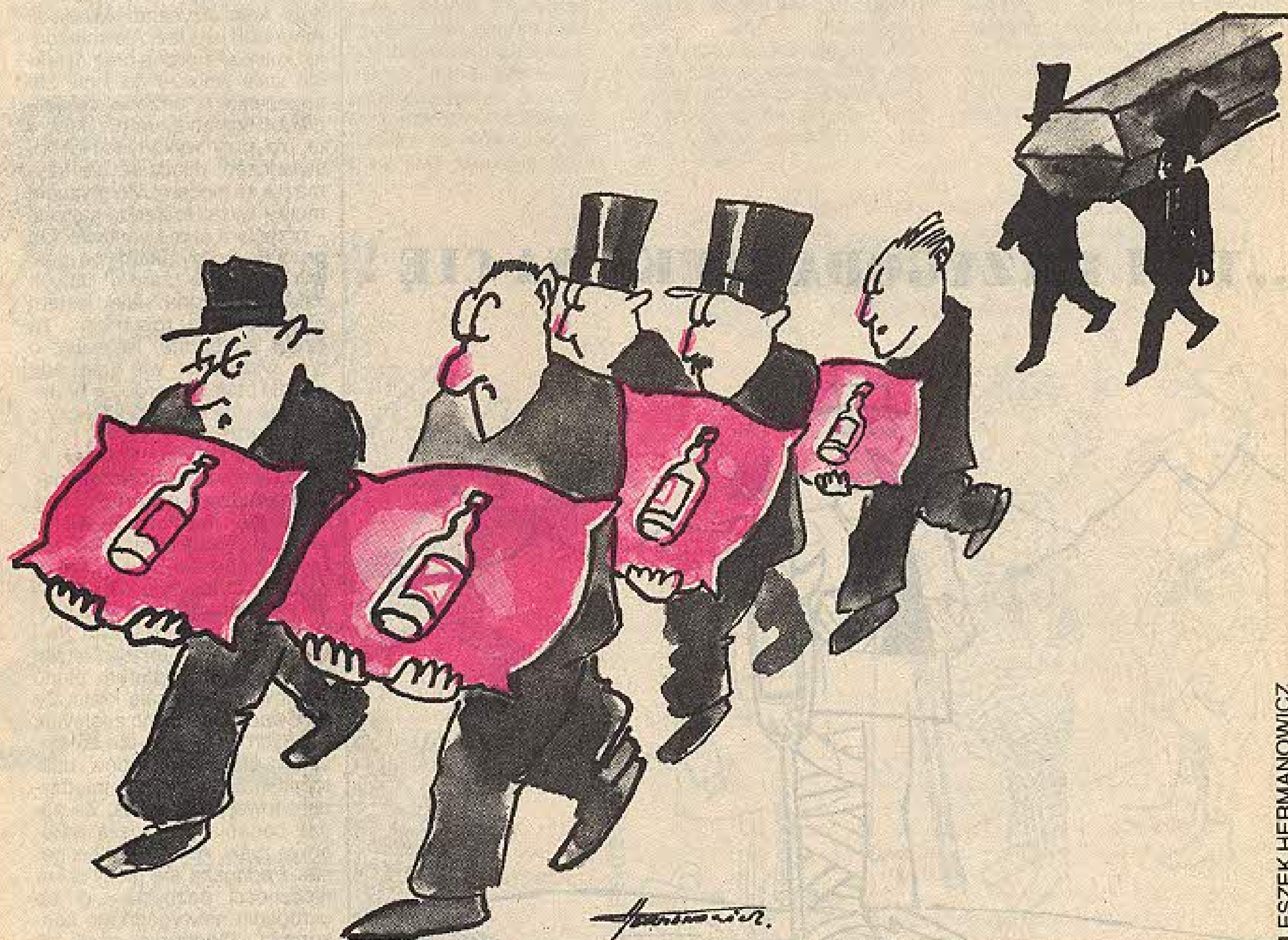
I stało się jak rzekła. Przyszło pismo ze spółdzielni: „Uwzględniając 10-letni staż i nienaganne zachowanie, przychylamy się do uprzejmej prośby... etc., etc.

Nawet cierpliwość złotej rybki ma jednak jakieś granice. Zachciało się babie telewizora. I to już, natychmiast! Kolorowego!

Nie poznał sąsiad złotej rybki, tak bardzo była oburzona. – A w kolejkę niech się zapisze bezczelna! – krzyczała. – Cóż to ja jestem – cudotwórczyni?!

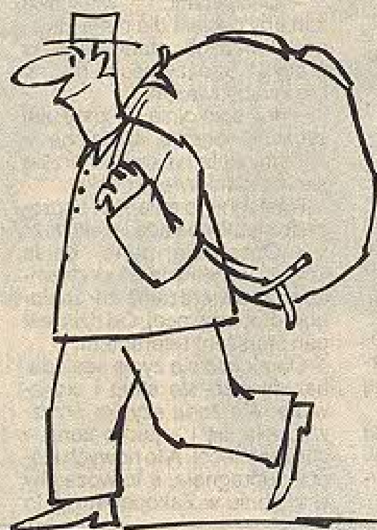
A potem było znów po staremu. I dobrze było.

JAN BRZÓZKA



LESZEK HERMANOWICZ

–W GÓRY, W GÓRY MIŁY BRACIE...



...TAM PRZYGODA CZEKA NA CIĘ!



STANISŁAW ZIARNKOWSKI

Dla dobra zbiorowości

Pisze do nas pani Monika W.: „Pracę w naszym przedsiębiorstwie rozpoczęłam przed dwoma laty na stanowisku z-cy głównego księgowego. Wykonuję swe obowiązki solidnie i od tej strony nikt nie ma do mnie żadnych zastrzeżeń. Ale te dwa lata, to jedno pasmo udręk i upokorzeń. Wszystko, łącznie z moją osobą, spotyka się z kwaśnym przyjęciem. Mój bezpośredni szef, kiepski zresztą fachowiec ale z układami, ma ciągle do mnie pretensje, nawet o to, że pogoda nie sprzyja drogowcom. Wezwał mnie dyrektor i powiedział, że jest mu życzliwy, w związku z czym powinnam odejść, bo nie pasuję do kolektywu. Dlaczego?"

Pan Witold Z. skarży się: „W liceum, w którym wykładam fizykę, panują dziwne stosunki. Moi uczniowie osiągają wysokie wyniki. Kilku doszło do finałów ogólnopolskich olimpiad przedmiotowych. Świetnie pracuje koło fizyczne. Młodzież mnie lubi i ja ją też. Ale koleżanki i koledzy z grona oraz dyrekcja stale wnoszą do mnie zastrzeżenia o urojone zresztą niedociągnięcia, na przykład o to, że przy wykonywaniu doświadczeń, młodzież nie trzyma rąk za plecami. Wygryzanie mnie – bo tak to trzeba nazwać – przybiera różne postacie. Od grubiaństwa dyrektorki po mało wyrafinowane żarciki innych członków grona. Nie jestem przeczulony i rozumiem, że czasy są trudne. Młodzież o tym wszystkim wie (nie ode mnie) i podobno próbuje protestować. Ale kto dziś się liczy z opinią uczniów?"

Prof. dr hab. inż. Szymon K. notuje podobne spostrzeżenia: „Sprowadzono mnie na funkcję dyrektora Instytutu z wielką pompą. Serdecznościom nie było końca mniej więcej przez 6 tygodni, to jest tyle, ile wynosi okres kwarantanny na dżumę. Potem już wszystko było źle i coraz gorzej. A to, że Instytut stał się koordynatorem planu węzłowego na skalę kraju. Że sprowadziłem trzech zdolnych, młodych docentów. Że zakończono kilka przewodów doktorskich. Że udała się międzynarodowa konferencja. Że nasze badania przynoszą milionowe zyski. Atmosfera jest gęsta. Podnoszą się głosy o konieczności pozbycia się lub ukrócenia niewygodnego konkurenta. Odebrano nam już środki na remont laboratorium,

skreślono zakupy biblioteczne, odrzucono praktycznie wszystkie wnioski o nagrody i nominację dla dwóch habilitantów. Czyżbym musiał opuścić to miasto i wrócić do swojej poprzedniej uczelni?"

Pan Robert N. informuje z goryczą: „Odszedłem już po roku. Być reżyserem, któremu nie wolno ani proponować repertuaru, ani decydować o obsadzie ról, ani o wyborze scenografii – to ponad moje siły, mimo, iż wychowałem się na Witkacym i Mrożku. Kierownik artystyczny twierdzi, że jest też bezradny, dzięki czemu utrzymuje się tu już dziesiąty sezon. A kto rządzi tym teatrem? Nazwisk nie znam, ale podobno jacyś urzędnicy ze szczebla na spółkę z kierownikiem kas biletowych i jego żoną, szefem służb garderobianych, zresztą siostrą chrzestną miejscowego prominenta".

Takich i podobnych listów uzbierało się w naszej poczcie redakcyjnej wiele. Nie wiemy jednak co o tym myśleć, ani tym bardziej co odpowiedzieć. Wie natomiast – jak zwykle – profesor nadzwyczajny J., którego poprosiliśmy uniżenie o pomoc. Nie odmówił, choć tym razem zwlekał. Nasza uniżoność jest oczywiście wytłumaczalna. Profesorowie u nas tak szybko i niespodziewanie awansują, że ani się obejrzymy – a i nasz profesor J. zajdzie słusznie na należne mu wyżyny. Wtedy on sam będzie potrzebował rady oraz pomocy, choćby nawet rzecznika.

Otóż – powiada profesor J. – charakterystyczną cechą wszystkich tych listów jest to, że piszą je jednostki. Jakiś jeden artysta teatralny, jeden uczony, jeden nauczyciel, jedna księgowa. Czują się osaczeni, nie akceptowani a nie rozumieją dlaczego. Otoczenie jawi się im wrogie i dobrze zorganizowane w nieprzyjaznym działaniu. Właśnie. Załóżmy, że to prawda, zwłaszcza, że jest to prawda i to obiektywna. Rzecz w tym, że mamy tu do czynienia z pewną ważną zasadą – mianowicie prawem utrzymania zdrowia społecznego wypróbowanego kolektywu. Czy kolektywy wojewódzkie, szkolne, akademickie, fabryczne, działowe, miejskie, wiejskie, miejsko-gminne, związkowe, instancyjne, instytucjonalne i urzędowe – czy one, te zbiorowości silne siłą kolektywu utyskują, skarżą się, piszą listy? Nie. Kolektywy działają. Kolektywy zgodnie, z satysfakcją, z poczuciem dobrze spełnianego obowiązku po prostu wykończają daną jednostkę. Dlaczego? Bo jest to prawem ich natury, sensem zbiorowego funkcjonowania. Kolektyw jednoczy się jako kolektyw tylko wtedy, gdy jego członków spaja jedna idea. Bywały zbiorowości, które łączył na przykład wspólny, szlachetny cel. Tak było dawniej. Potem zbiorowości z braku celu szukały przeciwnika zewnętrznego. To też jest pożyteczny środek na syntezę nastrojów. Ale co zrobić, kiedy nie ma celu i nawet wroga na zewnątrz nie da się zdefiniować? Wówczas dany kolektyw musi poszukać wśród siebie godnego przeciwnika, przeciwko któremu zjednoczą się wszyscy pozostali. Zbiorowość jest uratowana, choć wybrana jednostka zostaje poświęcona na stosie ofiarnym ognia wspólnego zapału. Cóż więc wtedy pozostaje owemu nieszczęsnemu kozłu, że tak się wyrażę. Po spełnieniu swego zadania należy odejść jak najśpieszniej, robiąc miejsce dla następnej ofiary, bo ludziom kolektywu też się należy odmiana. Istnieje teoretyczna ewentualność uchronienia się przed zagryzieniem. Trzeba szybko wtopić się w szeregi nagonki i wskazać inną dla niej ofiarę, na przykład swego zastępcę, kogoś niegroźnego z nizin, albo przeciwnie, zwierzchnika, koniecznie uruchamiając wówczas serię zręcznych anonimów. Nie zmienia to jednak istoty sprawy. Ktoś musi zostać poświęcony dla dobra całości.

Mamy zresztą pozytywne doświadczenia z uczciwym moralnie rozwiązaniem tej sprawy. W niektórych regionach kraju i wyróżniających się instytucjach metoda ta jest wypróbowana od dawna. Chodzi o politykę jawnego i racjonalnego kształtowania pozycji przeciwnika przeznaczonego na ofiarę służącą do skutecznego katalizowania uczuć kolektywnych. Wtedy daje się takie ogłoszenie: „Kierownictwo takiej to a takiej zbiorowości poszukuje na dobrze opłacane stanowisko odważnego fachowca, którego zadaniem będzie wystąpienie w charakterze obiektu zawiści, szyderstw, arogancji, kpin i kampanii oszczerstw, jednoczącej w ciągu dwóch lat serca i umysły wypróbowanej społeczności". Autorzy cytowanych listów nie zostali poinformowani zawczasu o swej roli. Stąd ich rozgoryczenie, które można podzielić. Ale to wszystko. Więcej jawności, więcej jasnego stawiania sprawy po obu stronach! Oto czego nam trzeba.

Dziękując profesorowi J. za dogłębne wyjaśnienia, prosimy wszystkich zainteresowanych o zajęcie właściwego stanowiska. I powstrzymanie się od siania defetyzmu, który jest wynikiem niezrozumienia praw psychologii społecznej.

JULIUS



JÓZEF SKONIECZNY



JÓZEF SKONIECZNY

TOMASZ KONARSKI

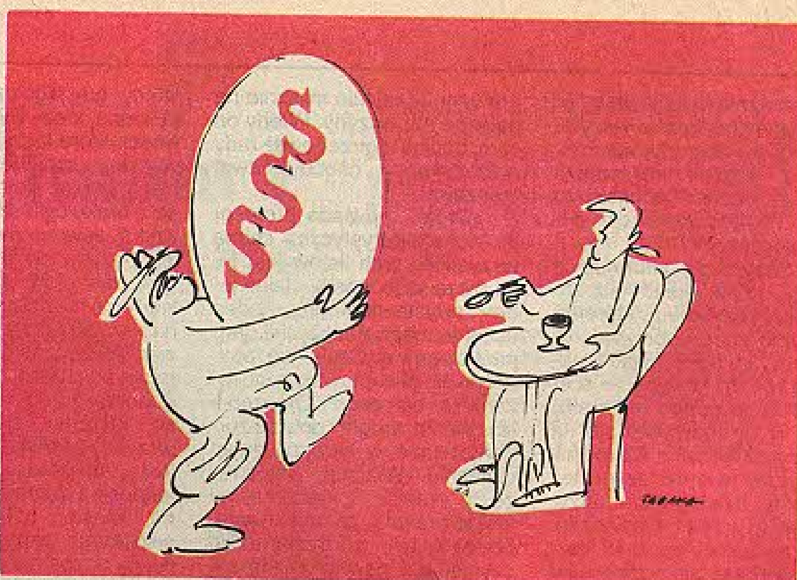
Wiosenne barwy

Jak nigdy dotąd
życie barwne,
więc skąd pesymizm ten ponury?
Niebieskie, złote,
białe, czarne...
Akcje kolorów idą w górę!

Kwitnie „zielony"
w złotym blasku,
bajeczny szelest ucho łechce.
I słychać słodkie tony
ptaszków.
Niebieskich ptaszków przed
Peweksem.

Znów czarny rynek
ostro ruszył.
W zaułku ciemny typek stanął,
z niewinną miną,
w kapeluszu.
„Kup pan niebieski migdał tanio".

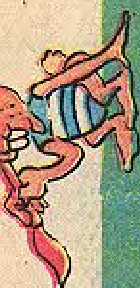
Biała gorączka
chwyci gdzieś cię,
innym zielone światło błysło.
Więc skąd na łączach
czarne wieści,
że jest bezbarwna rzeczywistość?!

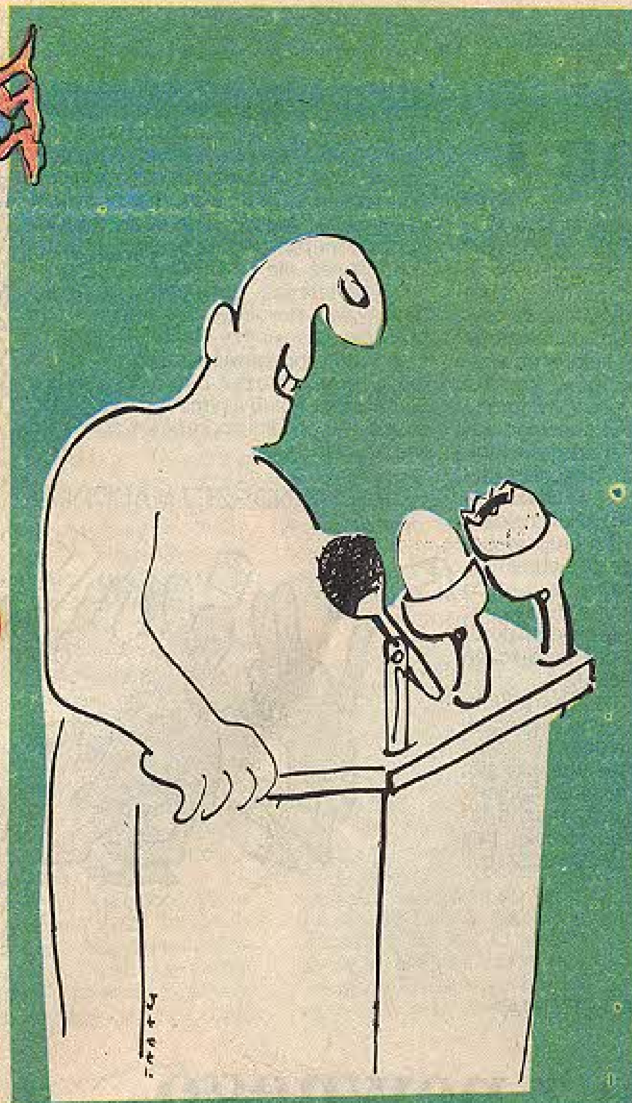

MAŁGORZATA TABAKA


MAŁGORZATA TABAKA



ANNA DZIEMIESZYŃSKA





MAŁGORZATA TABAKA



DANIEL JANUCHOWSKI



ANNA DZIEMIESZYŃSKA

RYSZARD BRUDZYŃSKI

Kartezjusz

Uczono mnie myśleć
Od dziecka, już w szkole;
Doszedłem do wniosku,
Że na tym padole
Myślenie ma przyszłość,
Jest miarą i testem,
Że rosnę, bo myślę,
A myślę, więc jestem.

A potem gdy wojna
Dotknęła mnie srodze,
Choć wszystko straciłem
W wojennej pożodze

Wiedziałem, że myśli
Przed wrogiem ukryję,
Z radością stwierdzałem,
Że myślę, więc żyję.

Z latami przybywa
Nam wrażeń i marzeń,
Bez liku nam rosną
Na kanwie wydarzeń.
Z bezmyślnych poczynań
Dziś temat mój czerpię,
Przetrawiam to wszystko
I myślę, więc cierpię.

RZUT PYSKIEM

Szalikarze Chama I

Razem z futbolistami pojawiły się znowu na stadionach hałastry małolatów opatulonych, nawet w ciepłe dni, w kolorowe szaliki i czapki. By się nie pałętali po trybunach zarezerwowanych dla poważnych i statecznych kibiców, szalikarzom przeznacza się oddzielne sektory. Mało tego, dostają oni także prawo wchodzenia na imprezy za darmo, dzięki czemu mogą skuteczniej przekazywać swe wiadomości z zakresu gwary szewców.

Ten prężny ruch specyficznych lektorów, nazywany przez żurnalistów o utopijnych raczej poglądach, ruchem klubów kibica jest nie doceniany przez społeczeństwo. Na szczęście nie przez wszystkich.

Nie tak dawno zorganizowano mistrzostwa dzikusów i chuliganów. Największym powodzeniem cieszyły się takie konkurencje jak: ciągnięcie z flachy na czas, wyrzucanie rywali przez zamknięte okno czy też opracowanie najefektowniejszego kastetu. Uczestnicy zawodów przyczynili się wydatnie do przyspieszenia rozpoczęcia przez organiz...rów remontu kapitalnego obiektu oddanego w panowanie przybyłym na te igrzyska złej woli.

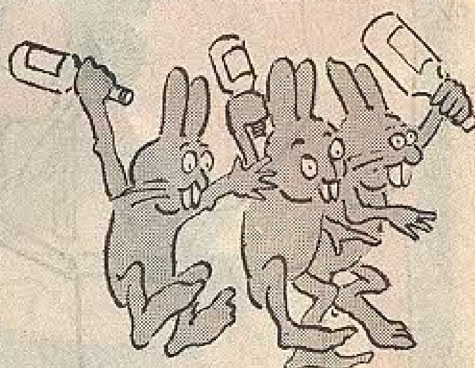
Po zajęciach czysto praktycznych przyszedł czas na teorię. Odbył się więc we Wrocławiu XI zjazd (a jakże) klubów kibica. Patronujący imprezie „Przegląd Sportowy" był wręcz zachwycony atmosferą obrad. Ponieważ w zjeździe nie brałem udziału, więc nie wiem dokładnie, czy dyskutowano tam na temat udzielania przez szalikarzy pomocy naszej kolei w przekazywaniu do kasacji pociągów, czy też może podjęto próbę wydania w formie książkowej śpiewnika stadionowego zawierającego najbardziej znane i lubiane przez małolatów przyśpiewki i hasła. Gdyby takie wydawnictwo miało się ukazać, to myślę, że poszczególne rozdziały należałoby adresować do różnych grup wiekowych. I tak np. dzieciom do lat siedmiu zalecać okrzyki w stylu „łódzkie psy", nieco starsi mogliby już przypominać futboliście D., kim była jego matka, zaś całkiem dorośli mogliby wykrzykiwać bez ograniczeń nawet w czasie walki wręcz.

Nie wiem, czy myślano o czymś podobnym. Faktem jednak jest, że na zakończenie zjazdu podjęta została uchwała (teraz żaden zjazd bez uchwał nie obejdzie się) mówiąca o tym, że na wiosnę stadiony będą wychowywać i na mecze można nawet przyprowadzać przedszkolaki, bez obawy o ich demoralizację. Żurnaliści byli tym wręcz zachwyceni.

Pierwsze mecze pokazały jednak, że cacy to na boiskach nie będzie, bo szalikarze więcej wynieśli ze zgrupowań praktycznych niż z teoretycznych. Wszystko zostało więc po staremu. Nadal na widowni rządzi król Cham I ze znanej dynastii Chuliganów. Ma on silne oparcie w licznej, oddanej bez reszty świcie.

Ponieważ nie przepadam za monarchią (zwłaszcza absolutną) proponuję bezkrwawą rewolucję. Chamowi I odebrać insygnia władzy (flacha i kastet), resztę hołoty pozbawić szalików i czapek (po wypraniu można dać biednym), zaś żurnalistom hołubiącym kluby kibica dać dłuższy urlop dla podreperowania zdrowia psychicznego.

ANDRZEJ MARCINIAK



JAROSŁAW WARZECHA

Krótka relacja z pewnego eksperymentu

Życie naukowca eksperymentalnego jest trudne, pełne niebezpieczeństw oraz niezasłużonej goryczy. O wiele bardziej pełne niż życie naukowca teoretyka, który z reguły dawno już leży w grobie i nie musi oglądać praktycznych i faktycznych wyników realizacji swojej przodującej teorii. Teoria przoduje – naukowiec leży. Wiedział, co robi. Położył się wcześniej. Z nami, empirystami, nie jest tak prosto. Leżący empirysta to żaden empirysta. W naukach doświadczalnych trzeba bowiem stać mocno, do samego końca, a niekiedy i dłużej. Ech, czego się nie robi z pasji poznania.

Tak więc pewnego dnia, postanowiłem przystąpić do wyczerpującego eksperymentu potwierdzającego w całej rozciągłości założenia. Zacząłem od organizmów najprostszych, jednokomórkowych. Złapanej w kroplę wody jednokomórkowej euglenie zielonej podsunąłem jej ulubiony kąsek – jednokomórkowca pantofelka. Jednocześnie zapaliłem przy tym czerwoną lampkę. Pantofelek zżarł euglenę, chociaż miało być odwrotnie. W ciągu następnych dni podsuwałem więc euglenę pantofelkowi. Pantofelek zżerał, lampka się paliła, a ja z zadowoleniem obserwowałem u pantofelka wzmożony ruch organów trawiennych. Później zapalałem samą lampkę, eugleny nie było, a ruch był. Na tym zakończyłem pierwszą fazę eksperymentu.

W drugiej fazie użyłem organizmu znacznie bardziej złożonego, wielokomórkowego. Rolę obiektu doświadczalnego powierzyłem mojemu ulubionemu psu sąsiadów. Podsuwałem psu kość, zapalałem lampkę i pilnie obserwowałem wydzielanie śliny. Zgodnie z wcześniejszymi przewidywaniami lampka się paliła, pies żarł i wydzielał. Po tygodniu zabrałem kość zostawiając lampkę. Wydzielanie śliny trwało nadal. Drugą fazę eksperymentu mogłem uznać za udaną.

Przystąpiłem więc do trzeciej, najważniejszej i jednocześnie najtrudniejszej części doświadczenia. Teraz miałem eksperymentować na organizmach najbardziej skomplikowanych – na ludziach. Codziennie, w godzinach obiadowych zapraszałem sporą grupę osób do suto zastawionego stołu, zapalałem lampkę i z niewielkiej odległości obserwowałem wydzielanie śliny. W tym wypadku eksperyment musiał trwać o wiele dłużej. Im bardziej skomplikowany organizm, tym trudniejsze utrwalanie się reakcji. Po trzech, czterech miesiącach nie musiałem już zapraszać, bo obiekty eksperymentu zjawiały się same, z dużą regularnością i rzec można z zadowoleniem. Ja obserwowałem, one pochłaniały i wydzielały. Po siedmiu miesiącach, w pewien słoneczny, jesienny dzień przystąpiłem do ostatniej fazy doświadczenia. Zgromadziły się obiekty, zapaliłem lampkę, ale stół pozostał pusty. Stałem, obserwowałem. Nie zdołałem zaobserwować w miarę dokładnie, zostałem powalony na podłogę, dotkliwie skopany, podeptany i opluty (więc jednak wydzielały).

Przebieg eksperymentu skorygował jednak znacznie wcześniejsze założenia – a więc wydzielanie wydzielaniem, ale zapalenie odpowiedniej lampki w odpowiednim czasie, u najwyżej zorganizowanych istot powoduje przede wszystkim wybuch niekontrolowanej agresji, o czym mam zaszczyt zakomunikować Prześwietnej Akademii.

ROMAN CZEJAREK

Pewność

Powoli obchodził całe mieszkanie. Przegląd zaczął od drzwi wejściowych – sześć zamków, w tym dwa robione na specjalne zamówienie uzupełnione było blokadą przeciwwyważeniową i solidną, żelazną sztabą. Wszystkie szczeliny we framudze zalepił taśmą, uprzednio wypełniwszy je pianką poliestrową.

Dokładnie opukał ściany, zajrzał za szafki, regały, poodkręcał półki i pozdejmował obrazy. Dywany leżały zwinięte w rogu pokoju. Skrupulatnie przejrzał klepki w podłodze badając czy jakaś nie jest obluzowana.

Miał się czym pochwalić. Już po godzinie pracy odnalazł dwie sprytnie ukryte mikrokamery. Jedna umieszczona była w rurze od zlewozmywaka, druga w muszli klozetowej.

A więc nie mylił się! Te dwa przebiegle wybrane miejsca uświadomiły mu, że w tym roku ma do czynienia z wyjątkowo poważnym przeciwnikiem, który postanowił śledzić jego ruchy dosłownie wszędzie...

Okna zamalował czarną farbą. Dla pewności, że nikt, absolutnie nikt go nie podpatrzy zasłonił je jeszcze dyktą. Pousuwał wszystkie przewody elektryczne, zamknął dopływ gazu, zakręcił kaloryfery.

Nauczony zeszłorocznym doświadczeniem, kiedy to w liściach palmy odnalazł wyzwalany drogą radiową aparat fotograficzny, odpowiednio wcześnie wyrzucił z mieszkania wszystkie posiadane rośliny. Teraz, chodząc z młotkiem i przebijakiem odkuwał tynki w pobliżu wszelkich wykrywalnych pionem lub poziomicą nierówności ścian. Dzięki oczytaniu w fachowej literaturze dobrze wiedział, że i tam mogą kryć się różne urządzenia.

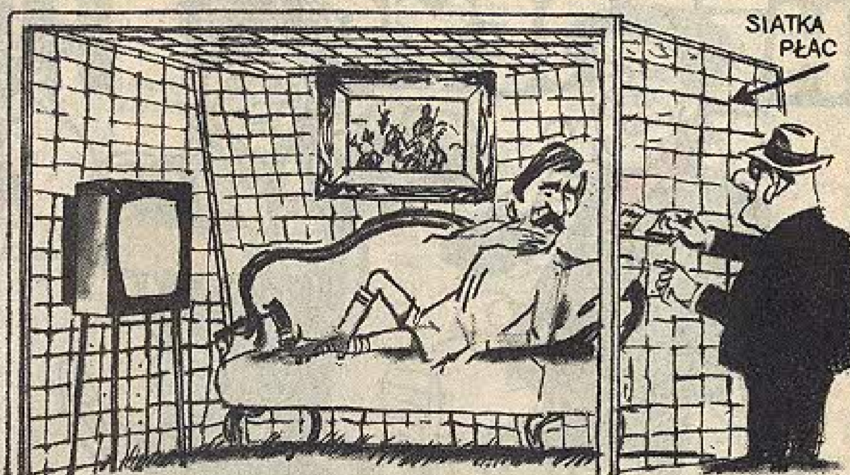
Wreszcie zatrzymał posiadane zegarki zostawiając na chodzie tylko jeden. Czekał na noc. Na porę, w której słyszeć będzie każdy szmer mogący wróżyć niebezpieczeństwo.

Siedząc w rozkręconym fotelu, w którym dawno porozpruwał obicia, rozebrał się do slipek. Skontrolowane ubranie odłożył na bok. Odruchowo sprawdził jeszcze jedyny długopis i czystą kartkę papieru. Tylko te dwa przedmioty były mu niezbędne w pracy.

W końcu zegar wybił pierwszą w nocy. Wyłączył go i odrzucił daleko za siebie. Wziął do ręki długopis i wolno, z powodu całkowitej ciemności zaczął pisać.

Dopiero teraz, on – kurator wojewódzki – miał pewność, że układanych przez niego nowych zadań maturalnych nie podpatrzy nikt. □





JERZY ĆWIĘKAŁA

Pomóżmy sobie sami

1. WPROWADZENIE

Prasa doniosła ostatnio o wydaniu w kraju w ponad milionowym nakładzie kalendarza z sennikiem. Nie zaspokoi to z pewnością całego głodu wiedzy na temat znaczenia snów. Takiej, jaką zawiera przykładowo załączony przeze mnie minisennik (od A do Z) tłumaczący w przystępnej formie najbardziej typowe sny tzw. Statystycznego Polaka. Możemy przecież pomóc sobie sami!

2. MINI-SENNIK (najpierw zapoznajemy się z treścią snu, a następnie z jego jedynie słuszną interpretacją; uwaga: odwrotne postępowanie może się nie sprawdzić!):

ABECADŁO żmudnie po nocach wkuwać – karierę polityczną zrobić albo tytuł profesorski uzyskać.

BRUKIEW z apetytem zajadać – Bermudy w telewizji w czasie III etapu reformy obejrzeć.

CARA Mikołaja I po piętach łaskotać lub za nogi obłapiać – wielkiego zaszczytu dostąpić albo rzecznikiem prasowym wojewody zostać.

DYNIE w domu w doniczkach doglądać – nadmiernym przyrostem naturalnym się zadręczać lub entuzjazmować.

ETYKĘ własną na wyższy poziom podnosić – z torbami po żebrach pójść, a etykę sąsiadów udoskonalić – nadzwyczajne korzyści osiągnąć.

FIGURAMI akrobatycznymi przed młodzieżą się popisywać – „Sztukę kochania" na perskim targu zakupić.

GOŁĄ dłoń obleśnie obnażać – w kwiecie wieku obskurantem zostać.

HALABARDĄ o Himalaje z hukiem hromolnąć – w okularach przeciwsłonecznych z ogniem igrać. I bez kropki nad „i" nielegalnie skandować – osoby urzędowe lub przełożonych prowokować.

JAWNIE z niezadowoleniem się obnosić – odczuwać perwersyjny pociąg do wyrobów wędliniarskich.

KURIERA carskiego do przenoszenia przesyłek poleconych angażować – rewelacyjne zmiany w łączności pocztowej będzie się wdrażać, a komarzyce brzemienne kurtuazją obłaskawiać – uniknąć wielu złośliwych uwag ze strony ekspedientek i ewentualnego pobicia przez mniej życzliwych kolejkowiczów.

LWU przez lupę w lędźwie zaglądać – ogród zoologiczny wkrótce odwiedzić.

ŁAPCZYWIE wyroby czekoladowe konsumować – podwyżek cen dla zrównoważenia popytu i podaży w imieniu szerokiego ogółu słusznie od rządu się domagać.

MONOPOL spirytusowy państwa w ramach reformy przełamywać – długotrwałe przejście na państwowy wikt i opierunek po najwyższych w świecie kosztach.

NAPOLEONA kult kultywować – do porozumienia narodowego z teściową dążyć.

OBSTRUKCJĘ w łonie koalicji rządowej czynić – na ambasadora do Ułan Bator się szykować.

PIRAMIDALNE głupstwa wszem i wobec obwieszczać – na byłego prominenta lub osobę zaufania publicznego się wybić lub sposobić.

ROŚLINIE ryczałtem rachunki regulować – diabła rogatego w kołysce hołubić lub ukatrupić.

SALONOWCA w eleganckim towarzystwie uprawiać – wstydliwie wśród nudystów z prokreacją się obnosić.

TORNADO nieopatrznym dmuchnięciem (dmuchem) spowodować – samokrytykę namiętnie, na przekór wszystkim kultywować.

UWŁOSIENIE garściami z głowy rwać – użytek nieprzystojny ze zdolności manualnych zrobić.

WYROBY RÓŻNE bogobojnie konsumować – opornych do tradycyjnej konsumpcji kułakami lub kłonicą zachęcać.

ZARDZEWIAŁE mechanizmy reformy oliwić – do izby wytrzeźwień za opilstwo trafić. □

ROMAN CZEJAREK

Pewność

Powoli obchodził całe mieszkanie. Przegląd zaczął od drzwi wejściowych – sześć zamków, w tym dwa robione na specjalne zamówienie uzupełnione było blokadą przeciwwyważeniową i solidną, żelazną sztabą. Wszystkie szczeliny we framudze zalepił taśmą, uprzednio wypełniwszy je pianką poliestrową.

Dokładnie opukał ściany, zajrzał za szafki, regały, poodkręcał półki i pozdejmował obrazy. Dywany leżały zwinięte w rogu pokoju. Skrupulatnie przejrzał klepki w podłodze badając czy jakaś nie jest obluzowana.

Miał się czym pochwalić. Już po godzinie pracy odnalazł dwie sprytnie ukryte mikrokamery. Jedna umieszczona była w rurze od zlewozmywaka, druga w muszli klozetowej.

A więc nie mylił się! Te dwa przebiegle wybrane miejsca uświadomiły mu, że w tym roku ma do czynienia z wyjątkowo poważnym przeciwnikiem, który postanowił śledzić jego ruchy dosłownie wszędzie...

Okna zamalował czarną farbą. Dla pewności, że nikt, absolutnie nikt go nie podpatrzy zasłonił je jeszcze dyktą. Pousuwał wszystkie przewody elektryczne, zamknął dopływ gazu, zakręcił kaloryfery.

Nauczony zeszłorocznym doświadczeniem, kiedy to w liściach palmy odnalazł wyzwalany drogą radiową aparat fotograficzny, odpowiednio wcześnie wyrzucił z mieszkania wszystkie posiadane roślinki. Teraz, chodząc z młotkiem i przebijakiem odkuwał tynki w pobliżu wszelkich wykrywalnych pionem lub poziomicą nierówności ścian. Dzięki oczytaniu w fachowej literaturze dobrze wiedział, że i tam mogą kryć się różne urządzenia.

Wreszcie zatrzymał posiadane zegarki zostawiając na chodzie tylko jeden. Czekał na noc. Na porę, w której słyszeć będzie każdy szmer mogący wróżyć niebezpieczeństwo.

Siedząc w rozkręconym fotelu, w którym dawno porozpruwał obicia, rozebrał się do slipek. Skontrolowane ubranie odłożył na bok. Odruchowo sprawdził jeszcze jedyny długopis i czystą kartkę papieru. Tylko te dwa przedmioty były mu niezbędne w pracy.

W końcu zegar wybił pierwszą w nocy. Wyłączył go i odrzucił daleko za siebie. Wziął do ręki długopis i wolno, z powodu całkowitej ciemności zaczął pisać.

Dopiero teraz, on – kurator wojewódzki – miał pewność, że układanych przez niego nowych zadań maturalnych nie podpatrzy nikt. □





JERZY ĆWIĘKAŁA

Pomóżmy sobie sami

1. WPROWADZENIE

Prasa doniosła ostatnio o wydaniu w kraju w ponad milionowym nakładzie kalendarza z sennikiem. Nie zaspokoi to z pewnością całego głodu wiedzy na temat znaczenia snów. Takiej, jaką zawiera przykładowo załączony przeze mnie minisennik (od A do Z) tłumaczący w przystępnej formie najbardziej typowe sny tzw. Statystycznego Polaka. Możemy przecież pomóc sobie sami!

2. MINI-SENNIK (najpierw zapoznajemy się z treścią snu, a następnie z jego jedynie słuszną interpretacją; uwaga: odwrotne postępowanie może się nie sprawdzić!):

ABECADŁO żmudnie po nocach wkuwać – karierę polityczną zrobić albo tytuł profesorski uzyskać.

BRUKIEW z apetytem zajadać – Bermudy w telewizji w czasie III etapu reformy obejrzeć.

CARA Mikołaja I po piętach łaskotać lub za nogi obłapiać – wielkiego zaszczytu dostąpić albo rzecznikiem prasowym wojewody zostać.

DYNIE w domu w doniczkach doglądać – nadmiernym przyrostem naturalnym się zadręczać lub entuzjazmować.

ETYKĘ własną na wyższy poziom podnosić – z torbami po żebrach pójść, a etykę sąsiadów udoskonalić – nadzwyczajne korzyści osiągnąć.

FIGURAMI akrobatycznymi przed młodzieżą się popisywać – „Sztukę kochania" na perskim targu zakupić.

GOŁĄ dłoń obleśnie obnażać – w kwiecie wieku obskurantem zostać.

HALABARDĄ o Himalaje z hukiem hrzmolnąć – w okularach przeciwsłonecznych z ogniem igrać. I bez kropki nad „i" nielegalnie skandować – osoby urzędowe lub przełożonych prowokować.

JAWNIE z niezadowoleniem się obnosić – odczuwać perwersyjny pociąg do wyrobów wędliniarskich.

KURIERA carskiego do przenoszenia przesyłek poleconych angażować – rewelacyjne zmiany w łączności pocztowej będzie się wdrażać, a komarzyce brzemienne kurtuazją obłaskawiać – uniknąć wielu złośliwych uwag ze strony ekspedientek i ewentualnego pobicia przez mniej życzliwych kolejkowiczów.

LWU przez lupę w lędźwie zaglądać – ogród zoologiczny wkrótce odwiedzić.

ŁAPCZYWIE wyroby czekoladowe konsumować – podwyżek cen dla zrównoważenia popytu i podaży w imieniu szerokiego ogółu słusznie od rządu się domagać.

MONOPOL spirytusowy państwa w ramach reformy przełamywać – długotrwałe przejście na państwowy wikt i opierunek po najwyższych w świecie kosztach.

NAPOLEONA kult kultywować – do porozumienia narodowego z teściową dążyć.

OBSTRUKCJĘ w łonie koalicji rządowej czynić – na ambasadora do Ułan Bator się szykować.

PIRAMIDALNE głupstwa wszem i wobec obwieszczać – na byłego prominenta lub osobę zaufania publicznego się wybić lub sposobić.

ROŚLINIE ryczałtem rachunki regulować – diabła rogatego w kołysce hołubić lub ukatrupić.

SALONOWCA w eleganckim towarzystwie uprawiać – wstydliwie wśród nudystów z prokreacją się obnosić.

TORNADO nieopatrznym dmuchnięciem (dmuchem) spowodować – samokrytykę namiętnie, na przekór wszystkim kultywować.

UWŁOSIENIE garściami z głowy rwać – użytek nieprzystojny ze zdolności manualnych zrobić.

WYROBY RÓŻNE bogobojnie konsumować – opornych do tradycyjnej konsumpcji kułakami lub klonicą zachęcać.

ZARDZEWIAŁE mechanizmy reformy oliwić – do izby wytrzeźwień za opilstwo trafić. □



HERREY'S

Pewna melomanka z Cisów
Nie mogła żyć bez Herrey'sów
Mówili: – co za dziewczyna.
Posłuchaj lepiej Chopina!
Lecz ona wolała Herrey'sów
LANCET

Zając

Przed świętami przyszedł niespodziewanie Konio z Bożydarkiem. Bożydarek miał kurtkę nie dopiętą pod szyją, a pod kurtką jakby obfity biust, falujący niespokojnie. Obaj panowie też wyglądali na niespokojnych.

– Przyszliśmy najpierw tu, na konsultację, bo w domu, w tej sytuacji, nie możemy się pokazać – powiedział Konio.

– A jaka jest sytuacja? – zapytała babcia, przyglądając się uważnie biustowi Bożydarka.

– No właśnie – speszył się Konio. – On ma zajączka. Dostał go w prezencie wielkanocnym, zajączek to przecież zwierzątko wielkanocne. Ale boimy się iść z nim do domu, bo Zula go wyrzuci, może nawet razem z nami. A Bożydarek bardzo go polubił.

– Będę zgadywać – podejrzanie słodko powiedziała babcia. – Konsultacja polega na tym, że my mamy zaopiekować się zajączkiem, a wy będziecie urabiać Zulę.

– No, tego, sam nie wiem... – wybąkał Konio.

– Zaraz, zaraz – zastanowiła się babcia. – Do świąt jest trzy tygodnie, jeśli on przez ten czas dorośnie do pasztetu...

– Nieee! – rozpłakał się Bożydarek, przyciskając mocniej swój skarb.

– Uważaj, bo go udusisz – odezwał się wreszcie dziadek. – A skąd on ma zająca? Ty mu kupiłeś?

– Skądże. Pani opowiadała im w przedszkolu o wielkanocnych zwyczajach i zwierzątkach, barankach, kurczakach i zajączkach. Jakiś Kuba, który marzył o samochodziku Bożydarka, zaproponował mu zamianę.

– A skąd Kuba wziął zająca? – zapytał dziadek Bożydarka.

– Nie wiem, powiedział, że z lasu – wyszlochał Bożydarek.

– Wyjmij go, nic złego mu nie zrobimy – zapewnił dziadek.

Bożydarek wyciągnął zwierzątko i nie wypuszczając z rąk posadził na krześle.

– Przecież to królik – roześmiał się dziadek.

– A skąd dziadek wie? – zdziwił się Konio, nieco skonsternowany.

– Tak mi się wydaje – zawahał się dziadek.

– A jaka jest różnica? Przecież wyglądają podobnie.

– Prawdę mówiąc nie umiem powiedzieć – przyznał się dziadek.

– Zadzwońcie do Huberta, on jest myśliwym – poradziła babcia.

Zadzwoniliśmy. Wuj Hubert prychnął w słuchawkę i powiedział:

– Jak lata po polu to zając, a jak siedzi w klatce to królik.

– Ale on siedzi na krześle – wyjaśnił dziadek.

– To nie wiem, zadzwonię do kolegów z koła łowieckiego.

Ciocia Fema nie miała wątpliwości:

– Różnica jest zasadnicza. Zając ma ciemne mięso, bo to dziczyzna, a królik białe. Zająca podaje się ze śmietaną i buraczkami, a królika jak kurczaka. Na pasztet lepszy jest zając, ale można zrobić i z królika.

Dziadek przekazał relację, Bożydarek znów się rozpłakał.

– Anatol też poluje – przypomniała sobie babcia.

Kuzyn Anatol rozmarzył się do słuchawki:

– Zając to jest król pól, a królik to jest królik. Zając mknie szybko, ucieka, a królik nie umie uciekać, bo jest zdegenerowany. Nawet daje się pogłaskać, a zając by ugryzł. Poza tym zając kica inaczej.

– Kica inaczej – przekazał dziadek.

– Nie pozwolę mu kicać po mieszkaniu – zaprotestowała babcia.

Pod wieczór wuj Hubert przyprowadził dwóch kolegów z koła. Wyciągnęli zwierzątko z tekturowego pudła, w którym nocowało.

– Turzyca królika – ocenił z miejsca jeden, oglądając sierść. – Za cienka i za rzadka na zająca.

– Ale słuchy jakby zajęcze – wyraził wątpliwość drugi konsultant.

– Śpi z otwartymi oczami? – zapytał wuj Hubert. – Bo zając śpi z otwartymi.

– A królik? – zainteresował się dziadek.

– Królik? Nie mam pojęcia, nigdy nie polowałem na króliki – obruszył się wuj Hubert.

Konsylium obradowało dość długo i burzliwie. Potem babcia zrobiła herbatę, panowie opowiedzieli mnóstwo myśliwskich anegdot, a na pożegnanie postawili diagnozę: chyba prawdopodobnie na pewno królik.

Żeby się dalej nie wdawać w szczegóły: Konio uzyskał w przedszkolu adres Kuby. Babcia Kuby hoduje króliki. Wydawało się jej, że jednego brak, ale tego drobiazgu trudno się doliczyć. Odniesionego przyjęła chętnie.

Bożydarek dostał nowy samochodzik i zajączka z czekolady.

Babcia odmówiła upieczenia pasztetu na święta.

TERESA WOJCIECHOWSKA

skojarzanki

Dziś rozpoczynamy od kontynuacji cytowania kolejnej przesyłki pana **Wojciecha Szypryta:**

spalina – śpioszka
spluwaczka – kabura pistoletu
spoina – kobieta upita
stajnia – kolejka
staniol – przeceniony towar
starostwo – para staruszków
starzec – kierowca stara
statecznik – marynarz
statystyka – zmywająca naczynia
stereotyp – typ radioodbiornika
sterylizacja – manipulowanie sterem
stępić – jechać konno stępa
stojak – setka pytań o sposób
stopień – bałwan na słońcu
stójka – wystająca w kolejce
stremowany – odbity w stojącym lustrze
strofować – pisać wiersze
stroik – mieszkaniec Troi (lub: modniś)
stropiony – odszukany
struga – rzeźbiarka
strugacz – płynący strugą
strychnina – mieszkanka poddasza
strzyga – fryzjerka
strzykawki – kości reumatyka
stygmat – materiał tracący ciepło
sukurs – tresura samic
sumienie – łowienie suma
suseł – skoczek w dal
sykomora – klatka z wężami
synekura – kogucik
synoptyk – latorośl sprzedająca okulary
ściernisko – gąbka do tablicy
ścierwa – szmatka do odkurzania
śmiałek – człowiek uśmiechnięty
szabas – znak dyrygenta dla basisty
szablon – kolekcjoner białej broni
szafarz – stolarz meblowy
szalet – człowiek wybuchowy, niezrównoważony
szansonistka – kobieta mająca możliwości
szarotka – kobieta przeciętna
szalunek – napad wściekłości
szlifierka – gwiazdka oficerska
szparagi – szczelina Agaty
szyber – szklarz
szybowiec – nóż do cięcia szkła
szyita – człowiek o długim karku
szykana – kobieta szykowna
szynkwas – środek czyszczący tory kolejowe
szyszak – robotnik leśny zbierający szyszki.

Pan **Krzysztof Jarzyński** z Płocka proponuje:

królik – władca Pigmejów
łamigłówka – migrena
proszek – petent, interesant
ręcznik – łapówka
rozchodnik – rozwiedziony.

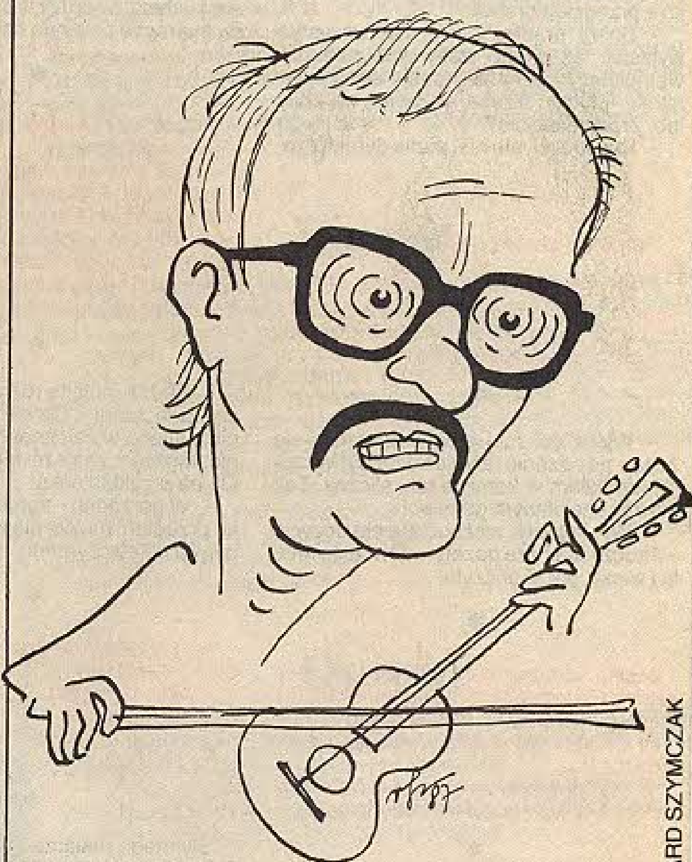
Zaś Pan **Artur Ruban** (Pabianice) znalazł nowe znaczenie dla słów:

biegunka – dyscyplina sportowa
doktor – port do wyładunku szyn
łapówka – gra w berka
pociąg – przeciąganie liny
warkocz – zły pies.

To takie naturalne, że im mniejszy człowieczek, tym niższych wymaga pokłonów.

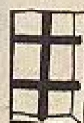
Jan Kurdelak (starszy)

nasi ulubieńcy



„prof" JAN TADEUSZ STANISŁAWSKI

RYSZARD SZYMCZAK





JAROSŁAW GRZELKA

Czy w tej formie Pan to słyszał?

Dyrektor „ustawia" jednego z kierowników przedsiębiorstwa:
– Dobry przełożony musi wszystko wyjaśnić tak prosto, żeby zrozumiał nawet idiota. Inaczej nie nadaje się do pełnienia funkcji i trzeba go wylać na zbity łeb. Zrozumieliście?
– Przykro mi, ale nie, panie dyrektorze.

*

Pewnego wieczoru zjawia się mąż z różami.
– Kochanie! – woła od progu. – Przysięgam, że nic nie przeskrobałem, a tę wiązankę po prostu zapomniał ktoś w autobusie, więc wziąłem ze sobą!

*

– Wiesz co, mój drogi – przymila się żona – po sezonie tanieją kożuchy! Wczoraj widziałam w komisie taki śliczny. Tak bardzo chciałabym go mieć!
– Wy, kobiety, niczego się nie uczycie – mruczy mąż zza gazety. – Owca go miała i wiesz, jak skończyła!

*

Młoda adeptka motoryzacji zatrzymała samochód przed skrzyżowaniem. Odpina pasy i zabiera się do wysiadania.
– Co pani wyrabia?! – wścieka się instruktor.
– Idę popatrzeć za róg, czy nic nie nadjeżdża z boku – wyjaśnia uczennica.

*

– Dziwne porządki panują w waszej restauracji – dziwi się konsument. – Pierwej serwuje pan rybę, a zupy jeszcze nie widzę. Dlaczego to?
Kelner uprzejmie się kłania.
– Proszę mi wybaczyć, łaskawy panie, ale kucharz twierdził, że ta rybka już żadną miarą nie powinna czekać!

*

Współcześni małżonkowie rozprawiają o swoim pożyciu.
– Coś się nasz związek nie klei! – powiada mąż. – Mamy osobne sypialnie, każde z nas jada w swojej stołówce, urlopy spędzamy osobno. Żadne z nas nie krępuje drugiego. Robimy wszystko, aby nasze pożycie było maksymalnie trwałe, a przecież coś tu nie gra!

*

– Nudzą mnie te rozmowy o sporcie! – powiada żona. – Od lat hokej i narty albo piłka nożna w zależności od sezonu. Czy nie możesz znaleźć lepszego tematu... Ot, na przykład seks!
– W porządku – zgadza się mąż. – Tylko przedtem muszę się umówić ze swoimi byłymi dziewczynami.

*

Amerykański reporter zwiedzał jeden z domów poprawy.
– Dlaczego pan tu siedzi? – zapytał pewnego więźnia.
– Bo nie chcą mnie wypuścić – odparł ten z prostotą.

*

Słynnego malarza i rzeźbiarza Arnolda Boecklina odwiedził kiedyś znajomy chirurg i z uwagą przypatrzył się jego dziełom.
– Nie jestem przekonany, czy te pańskie figury, ożywione mogłyby długo przeżyć z punktu widzenia anatomii i fizjologii.
– Zapewniam pana, panie doktorze, że dość długo pożyją jako dzieła sztuki. Z punktu widzenia estetyki – odpowiedział artysta.

*

– Były kiedyś czasy, kiedy pieszo nie zrobiłem kroku! – wzdycha jeden z bywalców knajpy. – Wszędzie jeździłem własnym wozem!
– ...który popychała twoja mamusia! – dodaje jego kumpel.

*

– Czemu wszyscy wysiadają? – dziwi się babunia jadąca tramwajem. – Czy ten wóz nie zmienia trasy?
– Nie! Wsiadają rewidenci – podpowiada ktoś siedzący obok.

*

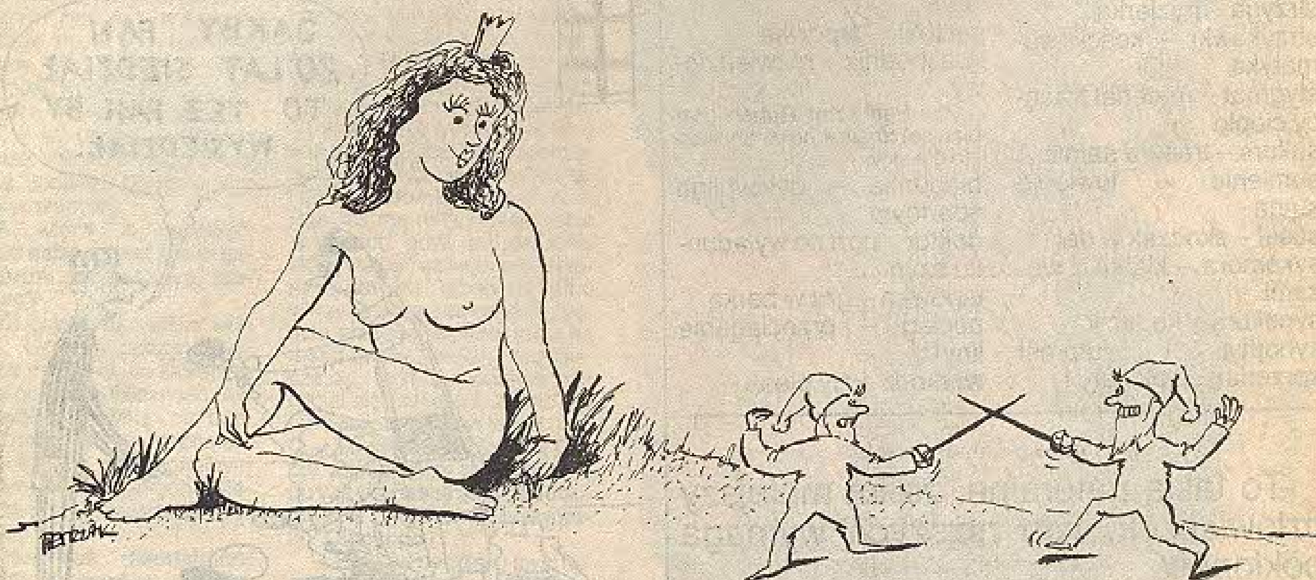
– Mój mąż rokrocznie wydaje przynajmniej jedną miłosną historię – chwali się żona pisarza.
– A innemu przynajmniej jedną udaje się zataić – sparowuje druga.

*

– Nie wściekaj się, kochana – powiada pijanica żonie. – Piwo zastępuje mi chleb.
– Ale nic cię nie usprawiedliwia, żeby do nocy przesiadywać u piekarza!

*

Pechowy myśliwy tłumaczy swemu psu:
– Jeżeli nie upolujesz mi teraz jakiejś zwierzyny, to nasza pani zwątpi czy byliśmy na łowach. Już mi się skończyły naboje!



DARIUSZ PIETRZAK

antologia żartu (13)

Skąd się wziął Agapit Krupka?

Starsze pokolenie czytelników pamięta tego zabawnego człowieczka z cygarem, w jego oryginalnym wcieleniu lub też bliższych i dalszych kuzynów tej postaci w różnych krajach (wymienić tu można choćby łódzkiego Polikarpa). Podobno jest faktem, że dwie trzecie czytelników zaczynało lekturę gazety od kolejnej przygody Agapita Krupki (a jedna trzecia się do tego nie przyznawała)...

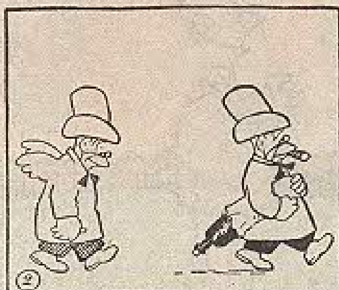
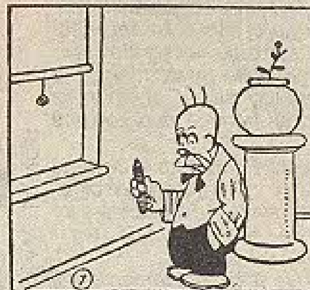
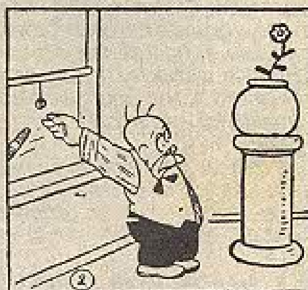
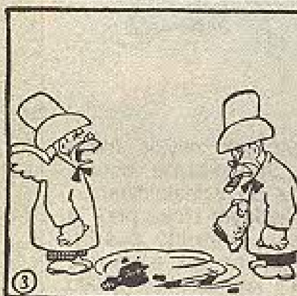
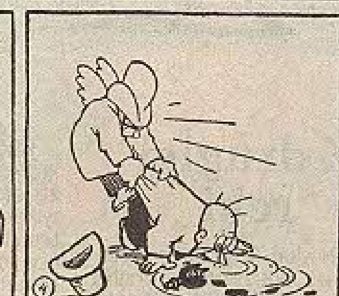
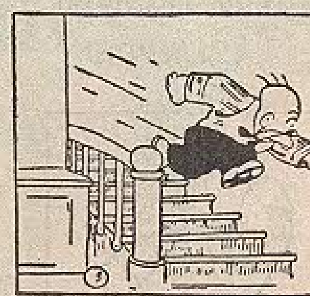
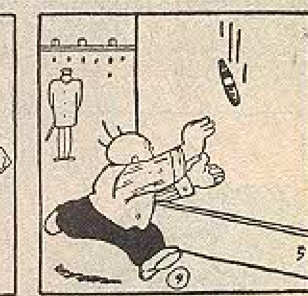
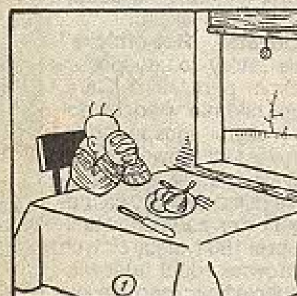
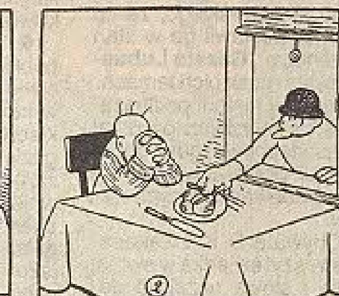
Krupka – to było polskie miano, w oryginale człowieczek z cygarem nazywał się Adamson (syn Adamsa), a narodził się w Szwecji w 1920 roku. Był to pierwszy w świecie i przez długie lata najpopularniejszy bohater cykliczny; codzienne historyjki z Adamsonem przedrukowywały setki pism na wszystkich kontynentach.

Twórca Adamsona-Agapita nazywał się Oskar Jacobsson, urodzony w 1889 roku w Gothenburgu. Nie od razu zajął się rysowaniem, próbował różnych zawodów, był parobkiem, drwalem, kowalem, robotnikiem kolejowym. Rysowanie karykatur – zrazu politycznych – zaczął w 1917 roku, a gdy zyskał już pewną renomę, redaktor niedzielnego wydania „Söndags-Nisse" zaproponował Jacobssonowi, by raz w tygodniu drukować dowcip z tą samą postacią. Pojedyncze rysuneczki rozwinęły się w historyjki, na pomysłach Jacobssonowi nie zbywało, więc wzrosła też częstotliwość publikacji – a wkrótce przyszła też sława światowa.

Pierwsze dziesięciolecia naszego wieku nie obfitowały w karykaturę zbyt wyrafinowaną, humor zbyt subtelny. Na tym tle przygody Adamsona prawdziwie błyszczą pomysłowością, inteligentną ironią – zwłaszcza w stosunku do bohatera.

Jacobsson zmarł w 1945 roku, a Adamson długo jeszcze był wykorzystywany w reklamie, wracał w kolejnych wcieleniach „kuzynów", aż wreszcie całkowicie zastąpili Agapita inni rysowani bohaterowie z pierwszych i ostatnich stron gazet.

J. W-ert



„DAS MAGAZIN"

karuzela Dwutygodnik satyryczny Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch". Adres redakcji: 90-113 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5. Telefony bezpośrednie: 33-14-32, 84-06-46. Centrala: 32-93-00. Redaguje zespół: HENRYK PAWLAK (redaktor naczelny), BOHDAN PIĄTKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JAN BRZÓZKA (sekretarz redakcji), STANISŁAW GRATKOWSKI (kierownik działu graficznego), HALINA SIBIŃSKA (zastępca kierownika działu graficznego), STEFANIA MAŁEK, ALEKSANDRA ZIMIŃSKA (red. techniczni), KAROL BADZIAK (publicysta). Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", 90-113 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne 92-332 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Rysunków i tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i adiustacji nadesłanych tekstów. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw w Warszawie, ul. Towarowa 28. Numer zamknięto 1987.03.23. Nr indeksu 36254. Zam. 818/87. H-2. PL ISSN 0449-9026

DIABELSKI młynek



Pisane kursywą

Zawsze byłem przekonany, że w naszym klimacie i kręgu kulturowym rzeczą n a t u r a l n ą jest chodzenie w odzieniu, a nie na golasa i skłonny byłbym upierać się przy swoim zdaniu, traktując naturyzm najwyżej jako formę relaksującej ucieczki od rzeczywistości i jeszcze jedną ekstrawagancję naszych ekstrawaganckich czasów, a więc w gruncie rzeczy zabawę, w której sam nie mam ochoty brać udziału, ale którą toleruję, bo co mi do tego, jak się kto bawi.

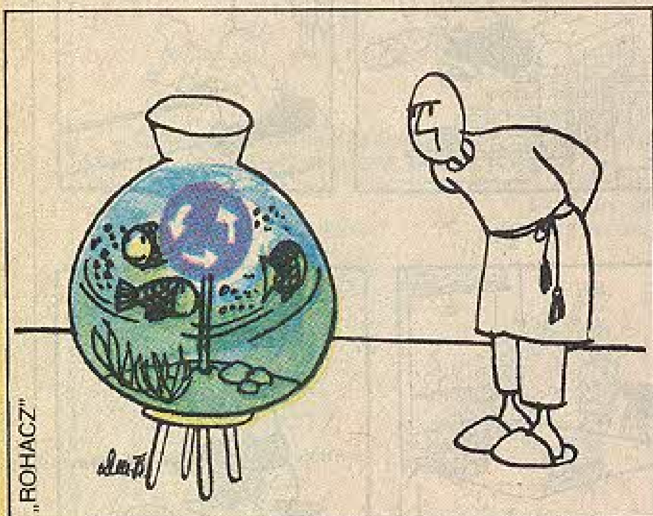
Okazuje się wszakże, iż sprawa jest daleko poważniejsza, o czym świadczą liczne enuncjacje „działaczy ruchu" chętnie – z braku enuncjacji księżniczek i następców tronu – publikowane przez gazety.

Oto np. prezes pewnego klubu naturystów oświadcza, że zimą też się nie nudzą, bo „p r a c a o r g a n i z a c y j n a trwa przez okrągły rok", że mają b i u r o, że „członkowie z a r z ą d u udzielają informacji o d z i a ł a l n o ś c i", że zbiera się składki i wydaje l e g i t y m a c j e.

A jak są już legitymacje, to krok tylko nieduży do szerzenia idei o wyższości gołych nad ubranymi, co pachnie niebezpieczną prowokacją.

MALKONTENT


MIROSŁAW HAJNOS


„ROHACZ"

Dowcipy odkurzone

Nowobogacki

– Panie Nowobogacki, czy pański syn gra na fortepianie?

– Oczywiście! I do tego na hebanowym!

Na dworcu

– Przepraszam, kiedy odchodzi pospieszny do Krakowa?

– Jak będzie czas, to pana zawołają.

– A skąd oni wiedzą, jak się nazywam?

Po polowaniu

– No i co, znów spudłowałeś?

– Ależ skąd, trafiłem dwa razy.

– A gdzie twoje łupy?

– W szpitalu.

Myśl restauratora

„Tyle razy sporządzałem gościom zupę żółwiową, a zabijcie mnie – nie wiem jak żółw wygląda".

Z drugiej ręki

● Pewien kolejarz z Zielonej Góry potrzebował trochę dermy „na ochraniacze przed wiatrem do motocykla". Wygospodarował ją z kilku siedzeń wagonu pasażerskiego, za co prokurator postawił go w stan oskarżenia, a **„Gazeta Lubuska"** opisała na swoich łamach.

W całej tej historii pocieszające jest to, że kolejarz ów rżnął siedzenia fachowo, gdyż pensję od PKP pobierał właśnie za naprawę zdewastowanych wagonów.

● Obywatel B. K. z Zakopanego straszył świadka w swojej sprawie i słowa uczciwie dotrzymał, czyli zachował się „honornie". Fakt jednak, że przed salą rozpraw zaatakował go – jak pisze **„Gazeta Krakowska"** – nożem rzeźniczym, świadczyłby o niejakim upadku obyczajów. Dotąd górale bili się głównie ciupagami.

● Mieszkańcy osiedla „Świętokrzyskie" w Kielcach czekali na wymianę „paneli" na grzejniki żeliwne siedem lat. Kiedy więc doczekali się wreszcie, bez szemrania zgodzili się na przeprowadzenie tej operacji w najsroższe mrozy, nie przeszkadzało im też, że kaloryfery są nie pomalowane i w ogóle obskurne.

Radość jak zwykle trwała krótko. **„Słowo Ludu"** donosi, że zaraz po zainstalowaniu i tylko w jednym bloku przy ul. Manifestu Lipcowego „puściło" ponad 100 żeberek, a trzy mieszkania kompletnie zalało. Okazało się, że pomysłowy producent dziurawe grzejniki klajstrował klejem oraz dodatkowo... znakiem jakości.

● **„Gazeta Robotnicza"** publikuje story o gospodarstwie rolnym pod Jelenią Górą, w którym nikt nie wiedział dokładnie czym gospodaruje, gdzie inwentarz głównie padał zamiast się rozmnażać, pracownicy nie byli pewni czy są mechanikami czy zootechnikami, a jeden brał 180 tysięcy złotych jako kierownik robót budowlanych, chociaż niczego się nie budowało. Jest to gospodarstwo szkolne przy Państwowym Technikum Weterynaryjnym, w którym młodzi ludzie odbywają praktyki.

I bardzo dobrze! Niewiele ich już potem w życiu zaskoczy.

TADEUSZ MARYNIAK

PARADOKS

Doktora hab.
Nie stać na schab.